

PRZECIWCIAŁA



Alicja Horn

# PRZECIWCIAŁA



Copyright © by Alicja Horn, 2025

Copyright © for this edition by Faros Wydawnictwo

Warszawa 2025

*All rights reserved*

ISBN 978-83-970952-4-3

## ROZDZIAŁ 1

Jarosław Ostrogski postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Wcześniej jednak po raz ostatni zapalił papierosa.

Oparł się o balustradę balkonu, spojrzał w dół i natychmiast tego pożałował. Jak zwykle zakręciło mu się w głowie. Od pięciu lat wynajmował to mieszkanie, ale wciąż nie przywykł do widoku z dwunastego piętra. Sam nie wiedział, co nim kierowało, kiedy je wybierał. Miał lęk wysokości i obraz za oknem napawał go przerażeniem. Poza tym nie zachwycił go Kraków, który rozciągał się w dole niczym architektoniczna makietka w rozmiarze XXL. Nie zachwycił to mało powiedziane. Ostrogski nienawidził Krakowa. To miasto zniszczyło mu życie i odebrało wszystko, co kiedykolwiek miało dla niego znaczenie.

Dopalił papierosa, wgniatając peta w doniczkę z ziemią. Kiedyś rosły w niej pelargonie. W dawnych czasach, gdy czuł się szczęśliwy i spełniony. Gdy miał po co żyć.

Mimo lęku podszedł do barierki i spróbował się na nią wdrapać, ale zawisł bezwładnie, jak pluszowa zabawka.

To nie była przenośnia – nogi naprawdę miał jak z waty, a dłonie drżały, jakby nie należały do niego. Wysokość przerażała go bardziej niż sama śmierć. Gdy spojrzał w dół, ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Ostatkiem sił cofnął się na balkon i osunął na zimną posadzkę. Co to było? Przecież miał plan. Musiał się pozbierać. Pod budynkiem nikt nie spacerował – teren zamknięto z powodu prac budowlanych. Nie było ryzyka, że zrobi komuś krzywdę. A z tej wysokości wszystko powinno pójść szybko, sprawnie, bez bólu. Jeden skok – i koniec.

Wrócił do pokoju i otworzył barek, wydając z niego butelkę Ballantine's. Whisky miała piętnaście lat i trzymał ją na specjalne okazje. Już bardziej specjalna być nie może, pomyślał z goryczą i nalał sobie pół szklanki. A potem jeszcze pół. Kiedy zaczęło szumieć mu w głowie, wrócił na balkon i ponowił próbę. Tym razem udało mu się przejść na drugą stronę. Betonu starczało ledwie na oparcie pięt – praktycznie wisiał w powietrzu, chwytając się za plecami metalowych prętów. Zamknął oczy i powoli zaczął rozluźniać palce.

Wtedy zadzwonił telefon. Melodia – idiotyczna, ustawiona w bezsensownym przypływie dobrego humoru – wwiercała się w mózg jak wiertło. Próbował ją zignorować, ale dźwięk nie ustawał.

Zirytowany, przerzucił nogi przez barierkę, wrócił do pokoju i odnalazł komórkę.

– Halo – warknął.

– Ostroga? To ja – odezwał się głos szefa. Byłego szefa. Ten skurwysyn zmusił go niedawno do odejścia, choć dobrze wiedział, jak ważna dla Ostrogskiego była praca – ostatnia rzecz, która trzymała go przy życiu. – Zaginęła teczka Cedaka. Wiesz, tego łysego, którego wyciągnęli z kanału. Nie zabrałeś jej przypadkiem?

– Po co miałbym to robić?

– Nie wiem. Może po to, żeby się na mnie mścić. Jeśli tak, to wiedz, że ci tego nie daruję.

W Ostrogskim zawrzało.

– Ty głupi chuju – wycedził do telefonu.

Od dawna marzył, żeby powiedzieć to Poznańskiemu prosto w twarz. Żałował, że nie zrobił tego ostatniego dnia w pracy. Normy etyczne wpajane od dziecka trzymały go w ryzach najdłużej. Nawet wtedy, gdy wszystko inne zdążyło mu zobojętnieć. Kiedy Poznański zmusił go do odejścia, Ostrogski harował do samego końca, zamiast załatwić sobie lewe zwolnienie. Działał jak w transie, nie dowierzając temu, co się działo. Porządkował sprawy, żeby ułatwić robotę następcom, choć tak naprawdę sprzątał po Poznańskim. Nie bez powodu za byłym szefem ciągnęła się opinia idioty i bałaganiarza. A jeśli chodzi o teczki, zostawił je wszystkie na miejscu, w porządku alfabetycznym.

– Co żeś powiedział?! – Poznański zdenerwował się.

– Nazwałem cię głupim chujem, ty mały gnoju. Ty miernoto, gnido... – Przekleństwa wypływały z jego ust jak woda z pękniętej tamy. Wyrzucał je z siebie z rosnącą furia, jedno za drugim, aż zorientował się, że krzyczy w pustkę. Poznański zdążył się rozłączyć.

Kiedy ochłonał, znowu wyszedł na balkon, choć wiedział już, że nic z tego nie będzie – odechciało mu się umierać.

Miał plan B, który dotąd wydawał się naiwny, ale nagle zaczął nabierać sensu.

\* \* \*

Aleksander Rączka spieszył się do kochanki, która od rana była w złym humorze i zasypywała go pogrózkami. Właśnie dostał kolejny SMS, w którym zapowiadała, że ujawni ich romans, jeśli Rączka nie porzuci żony, tak jak zawsze obiecywał.

Cóż, może faktycznie zdarzało mu się to mówić. Ale tylko po to, by podtrzymać ten kruchy płomień, który jeszcze się między nimi tlił. Była dorosła, powinna rozumieć, że człowiek na jego stanowisku składa setki obietnic, których nie zamierza dotrzymać. Tego od niego oczekiwano. Obietnic – nie realizacji.

W starostwie powiatowym szykowały się roszady i Rączka liczył na swoją szansę. Porzucenie rodziny i romans z kobietą o połowę młodszą nie dodałyby mu punktów. Musiał więc udobruchać Marlenkę, by nie

zrobiła nic głupiego. Przynajmniej na razie. Potem się zobaczy. Jej zaborczość coraz bardziej go irytowała, ale nie chciał jej zostawiać. Wspomnienie jej wielkich cyców pozwalało mu przetrwać monotonię niejednego samorządowego zebrania. Mieć ciastko i zjeść ciastko – tym zajmował się w powiecie i z taką filozofią życia całkiem nieźle radził sobie również w sprawach prywatnych.

Miał się z nią spotkać dwie godziny temu, ale zatrzymały go pilne sprawy. Teraz Marlenka znów słała gromy za pomocą SMS-ów, jak to miała w zwyczaju. Na szczęście zostało mu tylko siedem kilometrów. Droga była dobra, dojazd nie powinien zająć więcej niż kilka minut.

Korek za Muniną przekreślił jego plany. Najwyraźniej doszło do wypadku, a sądząc po liczbie stojących aut, droga była zablokowana już od dłuższego czasu. Niektórzy kierowcy wysiedli z samochodów i czekali na asfalcie w małych grupach, rozglądając się z niecierpliwością albo wymieniając nerwowe uwagi. Rączka zgasił silnik i wyszedł z kabiny.

– Co się stało? – spytał najbliższego mężczyzny.

– Jakiś wypadek.

Rączka przewrócił oczami.

– Do tego sam doszedłem – mruknął i ruszył między samochodami, próbując ustalić przyczynę.

– Dalej nie można – zatrzymał go policjant.

– Co się stało? – Rączka powtórzył pytanie.

– Wypadek z udziałem motocyklisty.

– A kiedy przywróćcie ruch?

– Jak tylko będzie to możliwe – odparł policjant i stracił zainteresowanie Rączką, skupiając się na jakimś domorosłym paparazzi, który pstrykał zdjęcia.

– Czyli nieprędko – powiedział ktoś z tyłu. – Będziemy tu sterczeć wiele godzin.

Rączka odwrócił się. Mężczyzna stał oparty o maskę własnego samochodu i palił papierosa. Było coś niezwykłego w jego wyglądzie, co przykuwało uwagę. Rączka przyjrzał mu się bacznie.

– Dlaczego tak pan sądzi? – spytał.

– Widzi pan ten czarny worek po lewej stronie jezdni? – Mężczyzna zatoczył łuk dłonią, trzymając w niej papierosa. – To głowa motocyklisty. A tamten po prawej? – Wskazał w przeciwnym kierunku. – To jego tułów. Doszło do dekapitacji. Ciało nie można usunąć z drogi, dopóki lekarz nie stwierdzi zgonu.

– I co z tego? – odezwał się jeden z kierowców. – To jakiś problem? W tej sytuacji żaden lekarz nie będzie miał chyba wątpliwości...

– Owszem, to duży problem. Nie mogą znaleźć lekarza, który by to zrobił.

– A pogotowie? – zapytał ktoś z tłumu.

– Pogotowie nie przyjeżdża do zgonu, jeśli nie ma innych poszkodowanych. Dyspozytor nie przyjął zgłoszenia.

– Przecież nie miał prawa odmówić!

– Wprost przeciwnie. Miał taki obowiązek. Jak już powiedziałem – pogotowie nie przyjeżdża do zgonu.

– I co teraz?

– Czekamy.

– Na co?

– Na najśłabsze ogniwo – odparł mężczyzna, zaciągając się papierosem. – Wystawianie kart zgonu to gra w gorącego kartofla. Albo ćwiczenie z asertywności. Policjanci właśnie próbują przekonać któregoś z kierowników najbliższych przychodni POZ, żeby wysłał lekarza. Ale ci znają przepisy i wiedzą, że nie mają takiego obowiązku.

– To kto ma taki obowiązek?

– Zgodnie z aktualnym rozporządzeniem? Na przykład starszy felczer albo wiejska położna – odpowiedział palacz z ironicznym uśmiechem. – Rozporządzenie nie zmieniło się od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego. Tak jak mówiłem – trochę tu postoiemy. Chyba że starosta powołał koronera, czyli lekarza do stwierdzania zgonów w sytuacjach nagłych i niewyjaśnionych. W co jednak wątpię, bo nie ma takiego obowiązku. W Polsce oficjalnie instytucja koronera nadal nie istnieje, choć Mi-

nisterstwo Zdrowia od lat nad tym pracuje. Nieoficjalnie – powiaty radzą sobie, jak same chcą.

– Sporo pan wie na ten temat – zauważył Rączka, stając obok niego.

Palacz rzucił mu obojętne spojrzenie i wyjął z paczki kolejnego papierosa.

– No, trochę wiem. – Zaciągnął się głęboko.

– Mogę zapytać, skąd ta wiedza?

– A mogę zapytać, dlaczego to pana interesuje?

– Bo tak się składa, że nasz starosta właśnie szuka koronera i to ja przygotowywałem treść zapytania ofertowego w tej sprawie. Dodam, że szukamy już od roku.

– Widocznie za mało płacicie.

– Płacimy tyle, co inne powiaty.

– A te inne powiaty już kogoś znalazły?

– No... raczej nie.

– No właśnie.

– To ile, pana zdaniem, powinniśmy płacić?

– To zależy. Ilu będzie koronerów? Jak daleko trzeba będzie jeździć? Ile będzie wezwań miesięcznie?

– Zajmował się pan rekrutacją?

– Nie. Byłem koronerem.

– Był pan? To znaczy, że już pan nie jest?

– Chwilowo nie. Właśnie szukam pracy.

– Naprawdę? – Rączka rozpromienił się. Co za niezwykły zbieg okoliczności! Gdyby udało mu się pozy-

skać tego człowieka, miałby u starosty dług wdzięczności, który można potem wykorzystać na wiele sposobów. – Może chciałby pan posłuchać, co mamy do zaproponowania?

– Nieszczególnie. Nie interesuje mnie ta okolica.

– A dlaczego? – spytał Rączka, usiłując ukryć zawód.

– Bo jadę w Bieszczady.

– Przecież mówił pan, że szuka pracy.

– Bo szukam. Ale w Bieszczadach.

– A gdzie konkretnie?

– Jeszcze nie wiem. Na razie robię rekonesans. Zobaczę, gdzie mi się spodoba.

Rączka zmrużył oczy i przyjrzał mu się podejrzliwie. Obcy był dziwakiem – to jasne. Nikt inny nie jechałby w Bieszczady bez żadnego planu. To nie lata osiemdziesiąte, góry dawno już zostały oswojone. Z drugiej strony – wiadomo, że musiał to być dziwak. Kto normalny zostaje koronerem? Jeździć do zwłok w środku nocy, bez względu na pogodę i okoliczności?

– A dlaczego od razu pan zakłada, że u nas się panu nie spodoba? – Rączka spróbował brzmieć zachęcająco.

– Przecież mówiłem, że jadę w Bieszczady.

– Ale to praktycznie już są Bieszczady.

– Widzi pan tu jakieś góry?

– Przemyśl jest zaledwie kilkanaście kilometrów stąd. A za Przemyślem już tylko góry.

– Dwadzieścia pięć kilometrów – poprawił go jeden z kierowców. Wokół zebrał się mały tłumek, z ciekawością przysłuchując się rozmowie.

– Przepraszam, czy ja rozmawiam z panem? – zdenerwował się Rączka. – Proszę się nie wtrącać. Tak jak mówiłem, nasze miasto to świetna baza wypadowa w Bieszczady. Do tego wygodne do życia, z piękną architekturą. Mieszkają tu wspaniali ludzie. Spodoba się panu, damę słowo.

– A co to za miasto?

– Jarosław.

Palacz roześmiał się.

– Co pana tak śmieszy?

– Dowcip sytuacyjny. Bo, widzi pan, mam na imię Jarosław. Wybrałem tę trasę specjalnie po to, żeby przejechać przez pana miasto i zrobić sobie zdjęcie przy tablicy z jego nazwą.

– To przeznaczenie! Teraz nie może pan odmówić. Musi mnie pan wysłuchać.

– No to słucham.

– Nie tutaj – powiedział Rączka, łypiąc po twarzach otaczających ich ludzi. – Zapraszam do biura.

– To raczej nieprędko. Był wypadek... – przypomniał mu palacz.

– Biuro jest w przeciwnym kierunku. Niech pan zawróci, zjeżdżając na drugi pas. Pojadę przodem, pokażę panu drogę.

\* \* \*

– Specjalistyczny Psychiatryczny Zespół Opieki Zdrowotnej – przeczytał Ostrogski.

Stali przed wejściem do kompleksu budynków przypominających dziewiętnastowieczne koszary.

– Co to ma być? Tutaj mieści się pana biuro?

– Skądże! Biuro koronera – odparł Rączka.

– Koroner będzie miał własne biuro?

– Tak. Starosta dogadał się z marszałkiem i urządziłmy gabinet w budynku prosektorium. Mam nadzieję, że to panu nie będzie przeszkadzać?

– Ale tu jest napisane, że to szpital psychiatryczny.

– No tak, bo marszałek urządził prosektorium na terenie szpitala psychiatrycznego. Było gdzie – jak pan widzi, miejsca jest tu sporo. Proszę się nie martwić, zwykle nie trzymamy tu żadnych psychopatów. Sami normalni ludzie, że tak się wyrażę. Z problemami, ale bez przesady. Proszę za mną. Aha, może wreszcie się poznamy. Aleksander Rączka jestem.

– Jarosław Ostrogski. – Uścisnęli sobie dłonie.

Rączka pewnym krokiem wprowadził Ostrońskiego do jednego z budynków. Wnętrze pachniało farbą i czystością; mijane pomieszczenia wyglądały na nieużywane.

– Dlaczego te drzwi są zamknięte? – mruknął Rączka, szarpiąc za klamkę. – Niech pan chwilę zaczeka, zadzwono-

nię do Domaradzkiego, to nasz ochroniarz, ma klucze. – Wyjął komórkę i przytrzymał ją przy uchu. – Nie odbiera. No nic, spróbujemy przejść przez prosektorium. – Otworzył drzwi po prawej. – Zapraszam. – Wpuścił Ostrońskiego przodem. Znaleźli się w długim, pustym korytarzu.

– Zaraz, przecież to... – Ostroński zatrzymał się przy jednym z pomieszczeń i zajrzał przez oszklone podwójne drzwi ze słuzą. – Przecież to nowiutka sala sekcyjna.

– A czego się pan spodziewał? Mówiłem, że jesteśmy w prosektorium.

Pomieszczenie było ogromne. Pośrodku stały dwa stoły sekcyjne z przylegającymi stolikami preparacyjnymi i natryskiem do płukania narządów.

– Widzę wysokiej klasy sprzęt. To musiało sporo kosztować. Wszystko do sekcji anatomopatologicznych?

– Jakich?

– Szpitalnych. Wykonywanych w przypadku zgonu w szpitalu.

– Aaa... Nie. Marszałek chce, żebyśmy przeprowadzali tu wszystkie sekcje, także te dla prokuratury.

– Dla prokuratury? – zdziwił się Ostroński.

– Tak, wiem. – Rączka skrzywił się. – Teoretycznie powinny być wykonywane w zakładach medycyny sądowej, ale... Wie pan, jak to wygląda w praktyce. – Przewrócił oczami.

Ostroński wiedział.

– Macie duże zapotrzebowanie?

– Nie powiedziałbym, że duże. Ale różnie bywa. Zwłaszcza teraz, odkąd nawpuszczali tu różnych... – Rączka machnął ręką. – Jak już coś się zdarzy, musimy prosić o sekcję w Rzeszowie. A tam to trwa, i to całkiem długo. Nie jesteśmy dla nich priorytetem, traktują nas jak karę za grzechy. Mieliśmy tu już wcześniej prosektorium, ale niewielkie, obsługiwało tylko zgony szpitalne. A po tym, jak... – urwał. – No, nieważne. Lepiej o tym nie mówić. – Znow machnął ręką.

– Czyli to nie będzie filia zakładu medycyny sądowej w Rzeszowie? – upewnił się Ostrogski.

– Filia? Pan żartuje? Marszałek nienawidzi się z rektorem Uniwersytetu Rzeszowskiego. To zresztą jeden z powodów, dla których zgodził się zbudować tak duże prosektorium właśnie w Jarosławiu.

– Wszystko wygląda na nowe, nigdy nieużywane. Dlaczego nic tu się nie dzieje?

– Bo nie możemy znaleźć ludzi do pracy.

– Marszałek wydał tyle pieniędzy, nie mając pewności, że znajdzie personel?!

– Ależ skąd. Był tu lekarz. Nawet dwóch. Nadzorowali prace przy tworzeniu prosektorium. Ale jak wszystko się skończyło, jeden z nich zmarł, a drugi pokłócił się z kimś z urzędu marszałkowskiego i wyjechał z Jarosławia. Prawdę mówiąc, nie przypuszczaliśmy, że

znalezienie kogoś na ich miejsce okaże się tak trudne.  
– Rączka westchnął. – Został nam za to technik sekcyjny. Bardzo porządny człowiek. Powinien gdzieś tu być, pewnie zaraz go spotkamy. A pan przypadkiem nie zna jakiegoś lekarza medycyny sądowej?

– Owszem. Siebie.

– Naprawdę?! – Rączka aż podskoczył. – Dlaczego pan od razu tego nie powiedział?! – Trafił z tym dziwakiem jak szóstkę w totka. Jeśli zatrzyma go w Jarosławiu, zyska wdzięczność nie tylko starosty, ale i samego marszałka!

– Bo pan nie pytał. Mogę wejść? – Ostrogski wskazał na salę sekcyjną.

– Oczywiście, oczywiście! Proszę bardzo.

Pomieszczenie było sterylnie czyste i – jak wszystko w budynku – pachniało nowością. Ostrogski wciągnął powietrze. Zapach świeżości... Pierwszy raz czuł go w prosektorium. Poglądził dłonią zimną powierzchnię sekcyjnego stołu, jeszcze nigdy nieużywanego. Otworzył jedną z szafek i omiótł wzrokiem zestaw narzędzi: noże, młotki, dłuta, piły – sprzęt wysokiej klasy, od renomowanych producentów. Nikt tu nie oszczędzał. Wszystko mu się podobało. To miejsce było doskonale przygotowane do pracy. Patolog, który dostanie tę posadę, będzie miał prawdziwe szczęście.

Rączka odchrząknął.

– To jak, możemy przejść do biura?

– Tak – odparł z niechęcią Ostrogski. Tęsknił za pracą. Z przyjemnością zostałby tu dłużej.

Przeszli do dalszej części budynku, Rączka prowadził. Po chwili zatrzymał się przed drzwiami, które wyglądały na antywłamaniowe.

– Zapraszam, zapraszam! – Otworzył je kluczem i przytrzymał, aż Ostrogski wszedł do środka. – Proszę siadać, zrobię panu herbaty. Porozmawiamy o szczegółach, między innymi o zakresie pana obowiązków.

– Ewentualnych obowiązków – poprawił go Ostrogski. – Mówiłem już, że niczego nie obiecuję.

– Odniosłem wrażenie, że zaczęło się panu u nas podobać...

Pierwszy błąd, pomyślał Ostrogski. Pozwolił temu urzędniczemu bubkowi odczytać emocje. Oczywiście, że mu się podobało. Wystarczył rzut oka na salę sekcyjną, by wiedzieć, że chce zostać. Ale przed nim jeszcze rozmowa o warunkach – zwłaszcza wynagrodzeniu – a kamienna twarz i poza rozkapryszonej primabaleriny były w takich negocjacjach bezcenne.

– Może i tak. Ale miałem stwierdzać zgony. Teraz pan chce, żebym zajmował się również wykonywaniem autopsji. To dwa etaty. A ja jestem tylko jeden.

– Bez przesady. Nasz powiat nie jest aż taki duży. Trochę ponad sto tysięcy mieszkańców. Nie będzie pan zavalony robotą.

– Sto tysięcy?! Czy pan oszalał? Nie wyjdę z pracy!

– Nagłe zgony rzadko się u nas zdarzają. Większość ludzi umiera w domu albo w szpitalu, wtedy nie potrzeba koronera.

– Skoro tak, to po co w ogóle jestem wam potrzebny? Powiat nie ma obowiązku, żeby tworzyć taki etat. Przy najmniej na razie.

– Bo czasem się jednak zdarzają. Tak jak dziś, na drodze. I co wtedy? Przechlapane. Żaden lekarz nie chce przyjechać do takiego denata. Rodziny nie mogą pochować bliskich. Ludzie narzekają na starostę, jakby to on był temu winien. Piszą listy, skargi, donosy do gazet... Nikomu niepotrzebne problemy. Ale to sporadyczne przypadki. Sam się pan przekona. A jeśli jednak będzie inaczej, zawsze może pan zrezygnować. Nie każę panu podpisywać cyrografu. Proszę, oto nasza oferta. – Wyjął z segregatora kartkę i położył ją na stole.

Ostrogski nachylił się i zaczął czytać.

– Nie dziwię się, że nikogo nie znaleźliście – prychnął. – To zupełnie nierynkowa stawka. Za takie grosze być w gotowości dwadzieścia cztery godziny na dobę, zrywać się w środku nocy i jechać na drugi koniec powiatu? Nie dziękuję. – Wstał z krzesła.

– Zaraz, zaraz, niech pan zaczeka! – Rączka położył mu dłoń na ramieniu. – To tylko oferta wstępna. Do negocjacji. Zatem ponegocjujemy.

- Stawka razy trzy – i podpisuję umowę.
  - Razy trzy?! Chce pan starostę do bankructwa doprowadzić?
  - Widzę, że nie mamy o czym rozmawiać.
  - Chwileczkę, chwileczkę. To spora suma, ale... myślę, że da się coś wymyślić. Muszę tylko wykonać telefon.
  - A co z sekcjami, z etatem patologa?
  - Oczywiście zadzwonię do ludzi marszałka. Ale o szczegółach będzie pan musiał rozmawiać z nimi, nie ze mną.
  - To warunek łączony.
  - Nie rozumiem
  - Będę pracować jako koroner tylko wtedy, jeśli dostanę również pracę w prosektorium.
  - Nie może być inaczej. Mówiłem przecież, że szukają lekarza medycyny sądowej.
  - Ale ja chcę znać konkretne warunki. Nie podpiszę niczego, zanim nie będę znał szczegółów.
- Rączka zrobił przerażoną minę.
- Proszę tu na mnie poczekać – rzucił. – Telefonów, które muszę wykonać, zrobiło się nagle więcej. To może potrwać – dodał i wyszedł na korytarz.
- Ostrogski wyjął komórkę i przez chwilę bawił się ekranem, ale kiedy Rączka nie wracał, ruszył jego śladem. A raczej – śladem prosektorium. Ciągnęło go tam i nie zamierzał się temu opierać.

Szklane, podwójne drzwi były otwarte. Wślizgnął się cicho do środka. Z namaszczeniem rozejrzał się po pomieszczeniu, chłonąc każdy szczegół. Tęsknił za pracą.

Wtedy usłyszał głos mężczyzny.

– Dagmara, nie bądź naiwna.

Dźwięk dochodził z pomieszczenia obok. W pierwszym odruchu Ostrogski zamierzał się wycofać, ale dalszy ciąg rozmowy sprawił, że zmienił zdanie.

– Nie jestem – odpowiedział głos kobiety. – Takie jest prawo.

– Prawo? – zaśmiał się mężczyzna. – Co ty opowiadasz, Dagmara? Jakie prawo? Kiedy ty ostatni raz widziałaś sekcję topielca z ZEK-u? Młoda jesteś, to ci powiem. Nigdy. Nikt się nie pali do zlecenia sekcji topielcom. A wiesz czemu? Bo i bez sekcji wiadomo, co im się stało. Utopili się.

– Ale ten jest NN. Był w wodzie kilka dni, nikt nie wie, jak długo. Zobacz, jak wygląda.

– Ja ci powiem, jak długo. Świadców mam, którzy widzieli, jak tydzień temu Ukraińcy tam balowali. Pili, tłukli butelki o kamienie, a potem włązili po pijaku do wody. I masz efekt. Sekcję Ukraińca chcesz robić? W koszty się pchać? Moim chłopakom roboty dodawać? Czy ty myślisz, że oni i bez tego mają jej mało?

– To co mam z nim zrobić?

– Daj zielone światło, niech MOPS zacznie załatwiać pogrzeb.

– A jeśli ktoś go będzie szukał? W Zakładzie Medycyny Sądowej mogliby chociaż jakiś portret zrobić, wysłać do ukraińskiej ambasady, pobrać próbki DNA...

– Portret? Ty chyba żartujesz! Przecież widzisz, jak on wygląda. Twarzy nie ma, szczupaki się do niego dobrały. A próbki i bez tych z Rzeszowa możemy pobrać. Poza tym, jeśli się kiedyś ktoś zgłosi, to może sobie trupa ekshumować. Proste.

– To nie jest Ukraińiec – powiedział Ostrogski.

Oboje odwrócili się w jego stronę. Mężczyzna odruchowo sięgnął dłonią do biodra.

– Kim pan, do cholery, jest i co pan tu robi? – warknął.

– Jarosław Ostrogski. Jestem patologiem.

– Tu nie ma żadnego patologa.

– Już jest. No, może jeszcze nieformalnie, ale to tylko kwestia czasu.

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? – spytała oskarżycielskim tonem kobieta.

Ostrogski podszedł bliżej, ignorując ją. Pochylił się nad ciałem. Mężczyzna miał rację, topielec praktycznie nie miał twarzy. Rany zadane przez zwierzęta, najprawdopodobniej ryby, uniemożliwiały identyfikację po cechach takich jak szerokość nosa czy kształt ucha.

– To nie jest Ukraińiec – powtórzył.

– Dlaczego pan tak uważa? – zapytała kobieta.

– Ja się państwu przedstawiłem. A państwo mi nie.

– Dagmara Biały, Prokuratura Rejonowa w Jarosławiu. A to komisarz Robert Betlejewski, Komenda Powiatowa Policji. No więc – dlaczego pan tak uważa?

– Niech pani spojrzy na jego przedramię. – Wskazał dłoń. – Widzi pani ten tatuaż? Połówka orła połączona z połową zakratowanego okna. To tatuaż więzienny, dokumentujący odsiadkę. W tym przypadku – Kraków. Widywałem takie wiele razy. Nie mam żadnych wątpliwości.

– Od kiedy pan tu pracuje? – spytał podejrzliwie Betlejewski.

– Formalnie jeszcze nie pracuję.

– To co pan tu robi? Nie ma pan prawa tu przebywać.

– Te zwłoki na pewno nie leżały w wodzie przez tydzień. – Ostrogski zignorował pytanie. – Dokładniejsze datowanie będzie możliwe po sekcji, ale już teraz, oceniając plamy opadowe i smugi dyfuzyjne, mogę powiedzieć, że zgon nastąpił maksymalnie trzy dni temu.

– O, tu pan jest, wszędzie pana szukam! – dobiegł ich głos z korytarza.

Cała trójka odwróciła się jak na komendę. W drzwiach stał Aleksander Rączka. Na widok zwłok zbladł, zakrył usta dłoń i wbił wzrok w podłogę.

– Widzę, że państwo już się poznali – wycedził przez palce, ledwo panując nad odruchem wymiotnym.

– Trzeba lepiej zabezpieczyć dostęp do prosektorium – mruknął Betlejewski. – Wszyscy tu włożą jak do siebie.

– Przynajmniej w tym się z panem zgadzam – powiedział Ostrogski. – Chodźmy stąd. – Pociągnął Rączkę, którego twarz zaczęła przybierać zielonkawy odcień. – A pani dobrze radzę, pani prokurator – dodał jeszcze, odwracając się w drzwiach. – Proszę zarządzić otwarcie zwłok.

## ROZDZIAŁ 2

Aleksander Rączka miał rację co do jednego – Jarosław rzeczywiście był miastem z piękną architekturą. Neorenesansowa zabudowa Rynku zachwyciła Ostrogskiego od pierwszego wejrzenia, choć przecież wiele lat mieszkał w Krakowie i akurat na brak zabytków nie mógł narzekać. Co do ludzi – na razie nie wyrobił sobie zdania. Nie znał tu nikogo, a wieczory spędzał głównie na samotnym oglądaniu filmów na ekranie laptopa.

Z wygodą sprawa miała się nieco gorzej.

Szybko udało mu się dogadać w sprawie obu etatów – zarówno koronera, jak i lekarza medycyny sądowej. Warunki, które wynegocjował, były znacznie lepsze niż te, które miał w Krakowie. Co więcej, nie musiał płacić za mieszkanie – otrzymał służbowe. Nie były to żadne wielkie luksusy, dwa pokoje na trzecim piętrze w bloku bez windy, za to blisko pracy. Na początek miało wystarczyć. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Niestety, mieszkanie okazało się hałaśliwą norą, w której od co najmniej kilkunastu lat nikt nie robił remontu. Łóżko w sypialni ustawiono tuż przy ścia-

nie, w której biegły rury kanalizacyjne. Każdego ranka budził go odgłos spuszczonej wody – sąsiad z góry był wyjątkowo punktualny w tej kwestii. Po kilku dniach Ostrogski miał dość. Przestawił mebel na drugi koniec pokoju, ale nie rozwiązało to problemu.

Na domiar złego sąsiad miał dziecko, którego pasją była jazda na hulajnodze. W domu. Po panelach. Najczęściej wieczorami.

– Koła autobusu kręcą się, kręcą się, kręcą się, koła autobusu kręcą się, przez cały dzieeeeeń! – darł się przy tym bachor.

Ostrogski używał zatyczek do uszu, ale niewiele dawały. W końcu poszedł do sąsiadów i grzecznie poprosił, żeby hulajnoga i koncerty zostały przeniesione do pobliskiego parku.

– Panie – odpowiedział sąsiad. – Jak panu w mieście nie pasuje, to się pan wynieś na wieś. Tam będziesz pan miał ciszę i spokój.

– Koła autobusu kręcą się, kręcą się, kręcą się, koła autobusu kręcą się, przez cały dzieeeeeń! – usłyszał Ostrogski od razu po powrocie.

Tak, musiał jak najszybciej rozejrzeć się za innym lokum.

„Świadczenie usług w zakresie stwierdzania zgonu, ustalania jego przyczyny oraz wystawiania karty zgonu osobom zmarłym na terenie powiatu jarosławskiego” –

jak zapisano w kontrakcie koronera – nie zabierało mu zbyt wiele czasu. Jak dotąd wezwano go tylko do dwóch zgonów. Miał jednak świadomość, że to się szybko zmieni, gdy tylko po okolicznych miejscowościach rozejdzie się wieść o jego zatrudnieniu i lekarze rodzinni przestaną robić to, co od teraz należało do jego obowiązków.

Jeśli chodzi o prosektorium, miał za sobą dopiero jedną sekcję. Tego samego topielca, który czekał w chłodni, aż Ostrogski dopełni formalności i będzie mógł się nim legalnie zająć.

Ale co to była za sekcja...

– Rozkład zwłok w środowisku wodnym różni się znacznie od tego, który zachodzi na otwartej przestrzeni albo w ziemi – tłumaczył prokurator Dagmarze Białej, która towarzyszyła mu przy stole sekcyjnym. – Prawo Caspara mówi, że tydzień rozkładu w powietrzu odpowiada mniej więcej dwóm tygodniom w wodzie i ośmiu w ziemi.

Początkowo znosiła wszystko zaskakująco dobrze – zarówno widok, jak towarzyszący sekcji charakterystyczny zapach. Była młoda, najpewniej świeżo po aplikacji, dopiero na progu kariery. Zwykle nie lubił rudych włosów i piegów, ale w jej przypadku wyglądały bardzo atrakcyjnie. Jako kobieciarz nie miałby nic przeciwko przelotnemu romansowi, gdyby nie własne zasady – żadnych romantycznych relacji z koleżankami

z pracy. A ona, w pewnym sensie, kwalifikowała się do tej kategorii.

Owszem, dobrze radziła sobie z widokiem ciała leżącego na stole. Ale to nie znaczyło, że potrafiła bez emocji patrzeć na proces jego otwierania.

Zwłoki zostały przygotowane do sekcji przez technika, co oszczędziło jej najgorszych wrażeń, związanych z użyciem piły do kości. Jednak widok wyjmowanych narządów wyraźnie wytrącał ją z równowagi. Ostrogski z niepokojem obserwował, jak jej blada skóra blednie coraz bardziej, zwłaszcza gdy kroił w cienkie plasterki mózg topielca. Ostatnie, czego potrzebował, to prokurator wymiotująca mu przez ramię. Musiał ją czymś zająć. Odciągnąć uwagę od obrazów i zapachów. Problem w tym, że nie bardzo wiedział, o czym z nią rozmawiać – nie mieli wspólnych tematów, a on sam nie był mistrzem pogawędek.

Postanowił zastosować stary trik, którego używał pracując ze studentami medycyny – mówił o tym, co właśnie robił. Opisywał ze szczegółami każdy swój ruch, każdą czynność, którą wykonywał, w nadziei, że kobieta przestanie skupiać się na tym, co widzi i czuje. U studentów to zwykle działało. Jeśli nie, wprowadzał dodatkowy element – w trakcie sekcji przepytывał ich z materiału, który powinni znać. To działało zawsze. Szkoda tylko, że w kontakcie z prokuratorem Białym nie wypadało go zastosować.

– Jeśli chodzi o czas zgonu – zaczął – bywa, że możemy go określić mierząc temperaturę zwłok. Niestety, metoda ta przestaje być przydatna w momencie, gdy ciało osiągnie temperaturę otoczenia, w tym przypadku wody. Wtedy analizujemy inne zmiany, które zachodzą w zwłokach zanurzonych w środowisku wodnym. Jedną z najwcześniejszych, pojawiającą się już po około trzech godzinach, jest tak zwana „skóra praczek”. Naskórek staje się blady, rozpulchniony i pofałdowany. Widzi pani? – Zademontrował, próbując wygładzić opuszkami palców powierzchnię wewnętrznej części dłoni topielca. – A ta gęsia skórka, którą zapewne też pani zauważyła, to efekt stężenia mięśni przywłosowych.

– Czyli wynika z tego, że utonął? – spytała z nadzieją. Wyraźnie nie mogła doczekać się końca sekcji i wyjścia na świeże powietrze.

– Jeszcze tego nie wiem. Ani skóra praczek, ani gęsia skórka nie są dowodem na śmierć przez utonięcie, tylko na długotrwałe przebywanie zwłok w wodzie.

– To po czym pan pozna, że on utonął?

– Zaraz wyjaśnię. Komisarz Betlejewski mówił, że ciało znaleziono w ZEK-u. Co to w ogóle jest ten cały ZEK?

– To jezioro, właściwie sztuczny zbiornik wodny. Powstał w miejscu, w którym w latach sześćdziesiątych wydobywano żwir. ZEK to akronim od Zakładu Eksplo-

atacji Kruszywa. Teraz to lokalna atrakcja turystyczna. Ludzie przyjeżdżają tam się kąpać, uprawiać sporty wodne, łowić ryby...

– Kto znalazł ciało?

– Wędkarz z Radymna. Przyszedł wcześniej rano, zaspany. Przez dwie godziny siedział tuż obok topielca, kompletnie go nie zauważając. Kiedy wreszcie zobaczył ciało, zaczął tak krzyczeć, że zbiegli się okoliczni spacerowicze. Po wszystkim wypuścił ryby, które tego dnia złowił i powiedział, że już nigdy nie weźmie żadnej do ust. – Anegdota była nieco makabryczna, ale prokurator Biały uśmiechnęła się lekko, pierwszy raz tego dnia. – Wie pan, na ZEK przyjeżdżają też ludzie z dalszych okolic, nawet z Przemyśla. Ukraińcy również się zdarzają. Robert mógł mieć rację. Przecież na dobrą sprawę ten tatuaż nie wskazuje na żadną narodowość.

– Nie, ale jest bardzo mało prawdopodobne, że mamy do czynienia z Ukraińcem. Tego rodzaju tatuaże wykonują zwykle osoby odbywające długie wyroki, często recydywiści, którzy mocno identyfikują się ze społecznością więzienną. Oczywiście mogą się mylić, czas to pokaże. Tak czy inaczej, ten tatuaż będzie dla nas bardzo ważny. Pomoże ukierunkować ustalanie tożsamości tego mężczyzny, zwłaszcza podczas badań odontologicznych.

– Jakich?

– Stomatologicznych. Jeśli denat odbywał karę w więzieniu, musieli mu tam leczyć zęby. Być może na podstawie dokumentacji stomatologicznej uda się ustalić jego tożsamość. – Spojrzał na ciało. – No dobrze, za chwilę przekonamy się, czy przyczyną zgonu faktycznie było utonięcie.

Przeszedł do klatki piersiowej. Młoda, jak nazywał w myślach prokurator Biały, zawiesiła wzrok gdzieś poza stołem. Miał nadzieję, że nie będzie musiał jej cucić. Na wszelki wypadek kontynuował wykład.

– Jak już mówiłem, ani skóra praczek, ani gęsia skórka nie są dowodem na utonięcie, lecz jedynie na długotrwałe przebywanie zwłok w wodzie. Za utonięciem znacznie bardziej przemawia rozdęcie płuc oraz obecność materiału ze zbiornika wodnego w drogach oddechowych. – Mówił powoli i wyraźnie. Prokurator kiwała głową, unikając patrzenia na jego dłonie. – No dobrze, spójrzmy, co tu mamy... Kopuła przepony na poziomie przedniego odcinka piątego żebra po stronie prawej. W tchawicy obecny płyn... No tak. Co jeszcze? Płuca wyraźnie powiększone, rozdęte, miąższ bładny na przekroju – relacjonował na bieżąco, krojąc tkanki na stoliku narządowym. – Panie Ferenc, zważy pan jeszcze to? – poprosił technika.

Przez chwilę pracował w milczeniu, skupiając się na tym, co robił. Wykonywał najważniejszą część sekcji.

– Żadnych osadów – mruknął sam do siebie. – Dobra, sprawdzimy jeszcze zawartość żołądka. Obecność cząstek ze zbiornika wodnego może być pośrednim dowodem potwierdzającym śmierć z utonięcia.

Ostrogski rozciął żołądek i nagle oczom całej trójki ukazała się kukurydza. Mnóstwo kukurydzy.

– No tak – jęknął. – Z całej sałatki tylko to dziadostwo zawsze pozostaje w idealnym stanie.

– Ja, odkąd pracuję w tym zawodzie, to do sałatki jarzynowej nigdy kukurydzy nie dodaję – powiedział Ferenc.

– Wcale się nie dziwię. Spójrzmy, co jeszcze tu znajdziemy. – Ostrogski zaczął grzebać w brunatnej mazi. – Co to jest? – spytał, chwytając pęsetą niewielki bezkształtny przedmiot i unosząc go do lampy. – Panie Ferenc, niech pan to przepłucze.

Po polaniu wodą dziwne znalezisko ponownie powędrowało w stronę światła.

Wpatrywali się w nie jak zahipnotyzowani, nie mogąc oderwać wzroku. Żadne z nich nie miało już wątpliwości.

Patrzyli na fragment ludzkiego palca – paznokieć był w idealnym stanie, pomalowany na krwistoczerwono.

– O w mordę jeża... – wyszeptał Ferenc.

Zapadła ciężka cisza, którą po kilku sekundach przerwał głuchy huk. Dagmara Biały straciła przytomność i osunęła się na podłogę.

\* \* \*

Ostrogski zatrzymał się przed otwartą bramą, przez chwilę zastanawiając się, czy zaparkować na podjeździe. Po namyśle wjechał na podwórze i zgasił silnik pod rozłożystym orzechem włoskim. Miał nadzieję, że dobrze trafił – posesja nie była oznaczona żadnym numerem. Dom, choć miał już swoje lata, prezentował się okazałe. Duży, solidny, otoczony zadbanym ogrodem – luksus, na jaki prokurator Biały nie mógłaby sobie pozwolić wyłącznie z państwowej pensji. Pomoc rodziny? Bogaty mąż? Wkrótce miał się przekonać.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła Dagmara Biały.

Ostrogski sięgnął po wino i kwiaty, które kupił po drodze, i wysiadł z samochodu.

– Nie boi się pan zarazków? – zapytała, gdy pocałował ją w rękę.

– Gdybym się bał, musiałbym zmienić zawód. Pani zresztą też nie wygląda na szczególnie lękliwą.

– Tak, udowodniłam to podczas sekcji. – Zaśmiała się. – Nie podziękowałam jeszcze za pomoc podczas tamtego... incydentu. Mam nadzieję, że dzisiejszy wieczór będzie formą rewanżu.

Zabrzmiało dwuznacznie, choć wyglądało na to, że zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Nie ma pani za co dziękować. I proszę się nie przejmować, nie pani pierwsza, nie ostatnia. Zdarza się i studentom medycyny, i prokuratorom.